

Michał Dorociak: Miasto (nie)upadłe

„Miasto 44” zgodnie z tytułem jest filmem o mieście. To Warszawa jest jego głównym bohaterem



„Miasto 44” zgodnie z tytułem jest filmem o mieście. To Warszawa jest jego głównym bohaterem - recenzja filmu ukazała się w wydaniu specjalnym "Teologii Politycznej Co Miesiąc"

Najnowszy film Janka Komasy jest z pewnością dla polskiej kinematografii najważniejszym wydarzeniem 2014 roku. Film, do którego przygotowania trwały 8 lat i którego budżet wyniósł rekordowe 24 mln złotych, miał być ważnym elementem obchodów 70 rocznicy Powstania Warszawskiego. Wypuszczony na początku tego roku pierwszy zwiastun produkcji opowiadającej o bohaterskim zrywie mieszkańców stolicy, był jednak mocno niepokojący. Użyta w nim

muzyka znanej i lubianej Lany Del Rey mogła sugerować, że twórcy nie będą się silić na stworzenie autonomicznego filmowego dzieła, a jedynie poprzestaną na schlebaniu gustom widzów przyzwyczajonych do amerykańskich wielkich produkcji (do takiego wniosku mogło prowadzić również wysokie stężenie efektów specjalnych, które w tymże zwiastunie zostały zaprezentowane).

Przedpremierowy pokaz „Miasta 44” odbył się 30 lipca na Stadionie Narodowym w Warszawie. 10-tysięczna publiczność zgromadzona na trybunach miała okazję obejrzeć film na gigantycznym ekranie, sprowadzonym specjalnie ze Stanów Zjednoczonych. Po wstępnych ceremoniałach – śpiewach, podziękowaniach, przemówieniu reżysera, itd. rozpoczął się w końcu długo oczekiwany seans.

„Miasto 44” zgodnie z tytułem jest filmem o mieście. To Warszawa jest jego głównym bohaterem. Losy pozostałych bohaterów – Biedronki, Stefana, Kamy, Beksy, którzy zostali świetnie zagrani przez młodych, stawiających pierwsze filmowe kroki, aktorów są tak naprawdę tylko pretekstem do podróży przez labirynt umierającego miasta. To Warszawa jest tutaj najdokładniej opisana, i przedstawiona od wielu stron – od Woli poprzez Stare Miasto, Śródmieście, aż do Czerniakowa.

Filmowi Komasy z pewnością brakuje psychologii postaci – zdają się one być w najlepszym razie tylko symbolami, w najgorszym jednowymiarowymi wydmuszkami. Biedronka, ze swoimi smutnymi oczami i pięknym uśmiechem, ubrana w błękitną sukienkę daje nieśmiałą, ale jakże intensywną nadzieję, że kiedyś się to wszystko skończy. Kobra jest tu niezłomnym i twardym dowódcą, który nawet

będąc rannym nie opuści pola walki, wysadzając się w powietrze. Beksa to nieustanny wesołek, rozładowujący napięcie codziennego życia na wojnie, który nawet na śmierć idzie żartując. W końcu Stefan, który podczas powstania dojrzewa, czy więcej, przeżywa całe dorosłe życie, widząc dookoła niekończący się ogrom cierpienia, tak, że nawet przetrwawszy tę wojnę, nie będzie miał przed sobą żadnej przyszłości, jak bohaterowie „Ostatniego dnia lata” Tadeusza Konwickiego.

Fabula jest więc bardzo prosta – bohaterowie zaczynają od „zabawy w konspirację”, by potem przeistoczyć się w prawdziwych i dzielnych żołnierzy, którzy po kolei giną z bronią w ręku. Jest tutaj, rzecz jasna, miejsce i na wątek miłosny, w którym w niebezpiecznym trójkącie dwie przyjaciółki rywalizując o względy głównego bohatera, kończą na wzajemnej nienawiści podszytej klasowym konfliktem. Nie ma za to wielkich słów, brak jest powiewających sztandarów i hymnów do ukochanej ojczyzny. Reżyser, występując przed seansem mówił, że „Miasto 44” jest hołdem dla ludzi, którzy mieli zasady i którzy byli gotowi za nie ginąć. Wydaje się jednak, że sam film tego nie obrazuje. Bohaterowie Komasy idą na wojnę, bo... są młodzi. Główny bohater, Stefan, dołącza do konspiracji tylko dlatego, że są w niej wszyscy jego znajomi. A dlaczego oni tam są? Bo są wysportowani, nie mają nic innego do roboty i myślą, że wszystko prędko i dobrze się skończy. Powstanie przecież miało trwać tylko 3 dni! Niemcy mieli zostać szybko odepchnięci, a do Warszawy wkraczali lada chwila Rosjanie. Tymczasem, niespodziewanie wszystko zamienia się w piekło. Mimo to oczywiście nikt się nie boi, a niesubordynacja może wynikać tylko z niezwykłego bohaterstwa albo z miłości. Powstańcy walczą bez lęku, tylko jeden nie wytrzymuje i strzela sobie w głowę.

W tym filmowym dziele jest jednak coś niezwykłego, coś, co nie pozwala przejść obok niego obojętnie. Jest to obraz zbrodni na mieście i jego mieszkańcach. Reżyser, podobnie jak w swoim poprzednim filmie - „Sali samobójców” gra na emocjach widza, pragnie go przytłoczyć. Brutalność niektórych scen jest porażająca. W takich momentach najczęściej włącza się mechanizm obronny – dosyć tego bombardowania, granica została przekroczona, więcej już w to nie uwierzę! W tym przypadku podobna reakcja wydaje się jednak nie być taka oczywista. Ogrom cierpienia pokazywanego na ekranie nie jest tylko reżyserską wizją. Uświadomiwszy sobie jego historyczność, fakt, że to, co widzimy na ekranie, miało miejsce naprawdę, nie możemy się po prostu odciąć. Komasa, moim zdaniem, nie „epatuje” w tym filmie przemocą, nie używa jej tylko jako narzędzia do stworzenia lepszego efektu. Dyskusyjnym pozostaje jedynie pytanie, czy w ten sposób należy „robić kino”? Czy wartość filmu fabularnego może sprowadzać się do tak realistycznego przedstawiania zła w czystej postaci? Czy priorytetem nie powinno być jednak opowiedzenie pewnej historii - stworzenie dobrej fabuły?

Wytknąwszy wiele wad tego filmu, możemy z łatwością wskazać w kinie wojennym na pozycje lepsze pod kątem psychologicznym, fabularnym, narracyjnym – mamy przecież „Pianistę”, „Listę Schindlera”, czy nawet „Szeregowca Ryana”, lub niedawne „Kamienie na szaniec”. Jeżeli jednak zdecydujemy się po prostu ruszyć za młodymi bohaterami przez ulice, podwórza, kamienice, kanały i piwnice płonącej Warszawy, to czeka nas przerażająca podróż po konającym mieście. Mieście, które umierało wraz z jego mieszkańcami. Które tak, jak i oni ginęło od pocisków nieprzyjaciół. Przemykając przez te same ulice, które na początku filmu jawiły się jako chluba stolicy, zobaczymy teraz kupy gruzu – pod nimi tysiące przygniecionych ludzi, na nich tyleż samo rozstrzelanych

każdego dnia. Kamienic już nie ujrzymy, większość z nich przestała istnieć, a ich nieliczni mieszkańcy, którzy przeżyli, poschodzili do piwnic i kanałów, gdzie niczym szczury, obdarci z godności mogą tylko czekać na śmierć. Krwawy deszcz, który przykrywa bohaterów fragmentami ciał porozrywanych od wybuchu czołgu-pułapki nie pozostawia już nikogo nieunurzonym. Człowieczeństwo zostaje ostatecznie zbrukane, a ci, którzy jeszcze nie zginęli, żyją już jak u Herberta „prawem wilka”. Czy widząc egzekucję swoich najbliższych, brutalnie zgwałcone kobiety, pomordowane dzieci i starców, bombardowane szpitale pełne chorych i rannych, można zachować w sobie jeszcze obraz Człowieka?

Bohaterowie Komasy nie umierają za ojczyznę. Nie walczą o wolność i niepodległość. Nie pragną jak Baczyński, aby wreszcie „Polskę nazwać Polską”. Na ekranie nie widzimy biało-czerwonych flag – tylko biało-czerwone opaski zrywane naprędce, gdy powstańcza walka staje się zbyt ciężka, a bohaterowie ostatkiem sił pragną jeszcze żyć i kochać. Nie słyszymy odśpiewywanego „Mazurka Dąbrowskiego”. Widzimy za to przerażoną ludność cywilną, która jak w „Pamiętniku z powstania warszawskiego” Białoszewskiego chowa się po piwnicach lub próbuje jak najdalej uciekać, byle tylko przetrwać. Ci, którym się nie to udało, każdego dnia chowani są w zbiorowych mogiłach. Młodzi powstańcy z „Miasta 44”, którzy na początku nie bardzo wiedzą co robią, później walczą z niezgody na taki świat. Z buntu przeciwko światu, w którym człowiek wyrządza drugiemu człowiekowi piekło na ziemi. Gdzie człowieka tak naprawdę już nie ma. Zamiast niego są tylko zwierzęta żądne krwi lub przetrwania. Sam główny bohater, Stefan, w pewnym momencie decyduje się porzucić Biedronkę i ich dopiero co zrodzoną miłość i mimo poniesionych ran wraca do zgrupowania, bardziej z chęcią zemsty niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Wady filmu twórcy „Sali samobójców” można długo wymieniać. Oprócz już wspomnianych, całkiem niezrozumiałe są pojawiające się co jakiś czas sceny niczym z gry komputerowej, odrzucające swoją sztucznością, nierealnością i efekciarstwem, całkiem wybijające z rytmu, w który wcześniej udało się reżyserowi wprowadzić widza (zwłaszcza scena seksu w dziwacznej konwencji gry komputerowej? filmu erotycznego? która jest po prostu niesmaczna). Nużące mogą być i inne momenty, trące zbyt pretensjonalnością czy popadające w zużyte klisze. Mimo to film ten warto obejrzeć. Jeżeli wybierzemy się na niego, licząc na zobaczenie tego, co obiecuje nam tytuł, nie zawiedzimy się. Jest to dowód pamięci o tej Warszawie, której już nie ma, a także o jej mieszkańcach, którzy wraz z nią odeszli. Jest to też, jak mówił przed projekcją reżyser, „dziękuję” dla powstańców, którzy walczyli za stolicę. Przy użyciu efektów specjalnych, jakich w polskim kinie jeszcze nie było, udało się pokazać śmierć Warszawy, która jeszcze 5 lat wcześniej, zgodnie ze słowami jej ówczesnego prezydenta Stefana Starzyńskiego „stała się wielka prędej niż przypuszczano”. Komasa, ukazując na koniec filmu obraz dzisiejszej Warszawy, pozostawia nas z pytaniem jak to możliwe, że to miasto podniosło się z tego upadku: nie tylko fizycznego, ale i moralnego. Jak to możliwe, że tu, gdzie kiedyś Człowiek umarł, żyją dzisiaj tysiące młodych ludzi? Takich samych, jak ci, którzy przed 70 lat stracili tu swoje marzenia, plany, ambicje, swoje życie. Jak możemy żyć na tym wielkim cmentarzysku? Jeżeli chcemy tu żyć dalej, to nie mamy prawa zapomnieć o tym, co wydarzyło się w 1944 roku.

„Miasto 44” z pewnością nie jest najlepszym filmem o powstaniu i o powstańcach. Reżyser nie chce włączać się w dyskusję o tym, dlaczego powstanie wybuchło i czy wybuchnąć powinno. Nie pokazuje nam też owego wspaniałego „pokolenia Kolumbów”, które w Polsce już chyba

nigdy się nie powtórzy. To, co dostajemy to obraz niepomiernego cierpienia i zła, jakie miały tu miejsce. Być może reżyser za bardzo uniwersalizuje, pokazuje zdarzenie, ale nie historię. Mimo to 2-godzinne oprowadzanie po tej kaźni naszych dziadków i pradziadków, dla pokolenia wychowanego w pokoju i dobrobycie, któremu żyje się tak dobrze, że najczęściej nie pamięta, że ostatnia wojna w Europie miała miejsce nie 70 lat temu, lecz 20 lat temu na Bałkanach, jest moim zdaniem już samo w sobie pewną wartością. To film, który ma służyć pamięci, a nie stać się wyjątkowym wydarzeniem w historii kinematografii. Wiele więcej po nim nie należy oczekiwać. Nie mamy nowego Wajdy, nie mamy nowego Maćka Chełmickiego. Mamy za to obraz, który nam o powstaniu nie pozwoli zapomnieć, a na świecie pozwoli się o nim dowiedzieć. Bo jeżeli Adorno i Lévinas twierdzą, że nie ma filozofii po Auschwitz, to nie powinno jej również być po powstaniu warszawskim.

Michał Dorociak